



Artur Becker ur. w 1968 w Bartoszycach (województwo warmińsko-mazurskie), od 1985 mieszka w Niemczech. Prozaik, poeta, eseista, pisze w języku niemieckim. Jest najbardziej znanym niemieckojęzycznym autorem pochodzenia polskiego. Wszystkie jego powieści związane są tematycznie z Warmią i Mazurami. W Niemczech opublikował jedenaście książek - poezję i prozę. W 2009 został laureatem prestiżowej nagrody im. Adalberta von Chamisso. W ubiegłym roku Wydawnictwo Borussia opublikowało pierwszy raz prozę Beckera w języku polskim - powieść *Kino Muza* w przekładzie Dariusza Muszera.

Beckeriada literacka

W kontekście współczesnej literatury krajów języka niemieckiego Artur Becker należy do pokolenia młodych emigrantów piszących po niemiecku. Współczesne literaturoznawstwo ma pewne kłopoty z zaszeregowaniem autorów tego typu, o czym świadczy niezbyt precyzyjne i zmienne instrumentarium pojęć: na początku lat osiemdziesiątych mowa była o literaturze „gastarbeiterów”, później – o literaturze emigrantów, imigrantów bądź obcokrajowców, dalej – o literaturze niemiecko-tureckiej, niemiecko-polskiej (zestawienie to można by długo kontynuować – w zależności od konstelacji kulturowej), jak również eufemistycznie – o „innej literaturze niemieckiej”.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że za najlepsze utwory autorom innego pochodzenia niż niemieckie, mieszkającym w krajach języka niemieckiego przyznaje się nagrodę im. Adelberta von Chamisso. W pewnym sensie już można mówić o powstaniu kręgu „Autorów Chamisso”. Od 2009 roku również Artur Becker, jako ubiegłoroczny laureat ww. nagrody, należy do tego znakomitego grona.

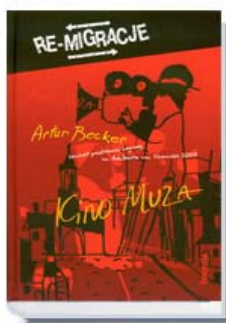
Artur Becker jest niezwykle twórczym i wszechstronnym autorem. Pisze powieści, opowiadania, wiersze i eseje, zajmuje się również tłumaczeniem. Swoją tożsamość literacką buduje na mocnej więzi z krainą, z której się wywodzi: z Warmią i Mazurami, przy tym Warmia występuje w jego niemieckich tekstach w wersji polskiej. Wiodącym toposem literackim w utworach Beckera jest powrót w rodzinne strony, jak również re-migracja. W ten sposób Autor przerabia motywy autobiograficzne, które stają się jego obsesją literacką. Główni bohaterowie – to przeważnie mężczyźni: młodzi – lub wraz z wiekiem Autora – coraz bardziej starsi, ciągle poszukujący idealnego miejsca, emigranci i re-migranci o skomplikowanych życiorysach, których historie rodzinne są uwikłane w historię dziejów. Artur Becker, jako autor niemiecko-polski nierówno dzieli swoją podwójną przynależność: niemiecki jest językiem jego literackiej beckeriady, którym w sposób zdecydowany posługuje się od 1989 roku, jednakże jego opowiedziane historie nadal pozostają polskie. Język niemiecki, niemczyznę Becker określa czasem jako swoją „kochankę“, czasem jako „język służbowy“, ponieważ pisanie stało się jego zawodem. Równie ambiwalentny jest jego stosunek do ojczyzny z wyboru: w wypowiedziach Autora jawi się ona jako „sypialnia”, bądź „pokój pracy”, a czasem jako „Disneyland”.

Becker jako poeta jest bardziej „kosmopolityczny“ niż jako prozaik. Wolne rytmy jego wierszy prowadzą przez różne rewiry świata i kultury. Czasem podmiot liryczny, obywatel świata, powraca jednak do swojej małej ojczyzny, do jezior, lasów, czy jak zwykle – do historii rodzinnych. Poezja Beckera staje się równie ważną pracą nad zachowaniem pamięci, co jego proza.

Becker jest zręcznym recytatorem swoich utworów, pewnego rodzaju performerem. Wraz z grupą jazzową Les Rabiates nagrał ostatnio płytę CD, pendant swojego w 2008 roku wydanego tomiku wierszy i prozy poetyckiej pt. „Ein Kiosk mit elf Millionen Nächten“ [Kiosk jedenastu milionów nocy], na której Autor brzmi niczym raper.

Alina Kuzborska

Wydawca serii literackiej „RE-MIGRACJE“, w której ukazała się pierwsza w języku polskim powieść Beckera „[Kino Muza](#)“ (tłum. Dariusz Muszer, Borussia: Olsztyn 2008).



„Książkę przeczytać warto (...)“,

[Beata Pieńkowska](#)

Nowe Książki

„Przyznana po raz 25. nagroda literacka im. Alberta von Chamisso, przeznaczona dla autorów obcego pochodzenia piszących po niemiecku, trafiła pod koniec 2009 roku w ręce Artura Beckera w uznaniu nowatorstwa, jakie jego twórczość wniosła do literackiego języka niemieckiego, oraz za poetycki wkład pisarza w zacieśnianie relacji kulturowych pomiędzy Polską a Niemcami.“,

[Heide Soltau / tłum. Anna Sadokierska](#)

Deutsche Welle, 17.02.2010

„Od kina do szewca“,

[Grzegorz Kwakszys](#)

Gazeta Olsztyńska, 30.05.09

„Jego powieści, wiersze i opowiadania, wydane pod koniec lat dziewięćdziesiątych i w pierwszej dekadzie XXI wieku (do tej pory jednaście książek oraz liczne wznowienia), wzbudziły zainteresowanie kręgów, decydujących o sukcesie literackim w Niemczech. Krytyka okrzyknęła go przedstawicielem „słowiańskiego realizmu magicznego”, piszącym o „totalitaryzmie, alkoholizmie i katolicyzmie”, choć dość trzeźwo opisuje on raczej komizm komunizmu w krainie katolicyzmu i alkoholizmu.“,

[Urszula Usakowska-Wolf](#)

Twoja Gazeta

„Wszystko jedno, w jakim językusie pisze“ – rozmowa z Arturem Beckerem



Adelbert-von-Chamisso-Preis
der Robert Bosch Stiftung

Jego teksty „wniosły nowe barwy i odcienie do języka literackiej niemieczyny, swoim poetyckim wyrazem potwierdzając ściśle więzi polskiej i niemieckiej przestrzeni

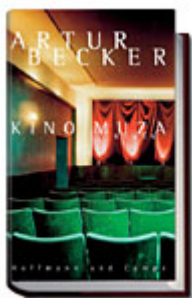
kulturalnej“ - tak uzasadnia swój werdykt jury, które przyznało nagrodę im. Adelberta von Chamisso za rok 2009 Arturowi Beckerowi.

Urodził się Pan w roku 1968 w polskiej miejscowości Bartoszyce, na Mazurach, a w roku 1985 przybył do Niemiec. Dlaczego do Niemiec?

Niemcy często bywają najprostszym rozwiązaniem: w końcu to nasz najbliższy sąsiad na Zachodzie. Poza tym Republika Federalna to był w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego wieku odpowiednik raj na ziemi.

W konkretnym przypadku mojej rodziny chciałbym przypomnieć, że była ona ze strony ojca pochodzenia niemieckiego, co w owych czasach oznaczało, że bez trudu mogliśmy uzyskać niemieckie obywatelstwo. Pozostał tylko drobiazg, którego trzeba było się jeszcze nauczyć – słowa, którymi miało się władać, język, mowa. A potem - niemiecka mentalność.

„Niemcy były jak zgaga“ - ten zwrot wkłada Pan w usta bohatera Pańskiej powieści „Kino Muza“. Czy tak właśnie Pan myśli?



Nie ma znaczenia, co myślę. Ja opowiadam. Ta znana scena z powieści *Kino Muza*, to początek książki; opisuje ona tylko traumatyczne uczucie, którego doznaje wielu emigrantów: budzą się nagle w nocy z pragnieniem powrotu do domu. W moim przypadku – *Spätaussiedler* - czyli osoby pochodzenia niemieckiego, która wyjechała z Polski w latach osiemdziesiątych, nagle uświadomiłem sobie, że muszę w jakiś sposób przyjąć odpowiedzialność za mój nowy kraj i – rozumie Pani – także za czyny dziadków.

Jestem wprawdzie Polakiem, gdyż wyrosłem w języku polskim, w Polsce, ale ten wyjazd do Niemiec uświadomił mi, jak jątrząca jest historia tego kraju, to, że nigdy nie zostawi człowieka w spokoju. Pani zapewne także nie potrafi zrozumieć, dlaczego Pani rodakom przyszło do głowy, aby zagazowywać dzieci? Ja do dziś nie potrafię pojąć, dlaczego w jednym z najpiękniejszych i najbardziej kulturalnych krajów świata jednak mogło zdarzyć się coś takiego...

Pisze Pan również po polsku?

Po polsku piszę rzadko, właściwie wcale, mimo że codziennie używam polskiego w mowie i piśmie – załatwiam pocztę prywatną i literacką, maile i tak dalej.



Musiałem w którymś momencie zacząć pisać po niemiecku, bo nie miałem wyboru: musiałem jak najszybciej dotrzeć do moich czytelników. Dlatego właśnie w roku 1989 postanowiłem zmienić język. Byłem wtedy jeszcze bardzo młody, nie miałem w Polsce czytelników ani wydawnictw i chciałem publikować tutaj, w Republice Federalnej.

A poza tym: to wszystko jedno, w jakim języku się pisze, gdyż poezja unosi się w powietrzu. Język w którym piszemy, pozwala ją uchwycić. I żaden język nie jest lepszy od innych. Każdy może stać się pięknym i

literaturą.

Czy w Polsce czyta się Pańskie książki?

Tak, od grudnia 2008, czyli od ukazania się w Polsce mojej powieści *Kino Muza* - z roku 2003 – w tłumaczeniu Dariusza Muszera.

Pisuje Pan powieści, opowiadania i wiersze. Którą z tych form najbardziej Pan lubi?

Lubię wszystkie trzy formy. Pisuję również eseje. Tom esejów znajduje się w przygotowaniu.

Powieści są dla mnie jak długie nocne podróże. Trwają dwa lata. Opowiadania albo wiersze: czasem mogą powstać w jeden dzień. Najwspanialsza jest dla mnie możliwość pracy nad książką dzień w dzień, noc w noc. To takie piękne jak seks albo jak ognisko nad jeziorem Dadaj na Mazurach. Ludzie, którzy sądzą, że literatura i sztuka to rodzaj fikcji, nie mają pojęcia. Literatura to rzeczywistość, realność. Robinson Crusoe żyje naprawdę.

Krytycy chwalą Pańską radość opowiadania. Którzy z prozaików są dla Pana wzorem?



Och, jest ich tak wielu: Marek Hłasko, William Faulkner, Ernest Hemingway, John Steinbeck, Knut Hamsun, Dostojewski, Thomas Mann, Jan Potocki, Cervantes, Isaac Bashevis Singer, Haruki Murakami, Paul Auster, Cormac McCarthy, Witold Gombrowicz i tak dalej – w żadnym razie nie James Joyce, Franz Kafka czy Thomas Bernhard! Bernhard powiedział w wywiadzie, że ciężarna kobieta nosi w brzuchu siedemdziesięcioletniego starca. Kto mówi coś takiego, niech się wypcha. Trzeba mieć szacunek dla życia – życie jest święte i wieczne.

Pańskie opowieści to historie ludzi pogranicza i emigrantów. Jak wiele jest z Pana, z Pańskich wspomnień i doświadczeń w Pańskich postaciach?

Sądzę, że w moich postaciach mieści się cały Artur Becker: jego serce, jego dusza, jego doświadczenia, jego miłość do życia i jego wiara w ludzkość, która wreszcie powinna przestać być pekiem świata.

Ale moi bohaterowie są bardzo samodzielni. Obserwuję ich, jasne, piszę tylko o tym, co jest mi znane, ale coraz bardziej i bardziej dystansuję się od własnych poglądów i wyobrażeń. Postaci powinni być niezależne. Jednak nie przestanę pisać o moich miejscach, o moich ludziach i o przyjaciółach i o ludziach pogranicza i o emigrantach – to moje życie, mój statek we wszechświecie.

Kiedyś w jednym z wywiadów powiedział Pan, że jadąc na Mazury ma Pan takie wrażenie, „jakbym tylko na chwilę wyszedł z polskiej knajpy po papierosy“. Czy tęskni pan za domem?



Nie, ten obraz, który pani przywołuje, nie ma nic wspólnego z tęsknotą za domem! Mówi o tym, że życie jest krótkie; a przede wszystkim o złudzeniach, które nieustannie żywimy. Ludzie będący na łożu śmierci doskonale rozumieją, co mam na myśli, kiedy mówię „przecież właściwie wyszedłem tylko do kiosku po gazetę i papierosy”. Wróciłem, a tu życie minęło.

Poczucie, że żyje się zafałszowanym życiem, jest bardzo silne szczególnie u emigrantów, gdyż nieustannie czują, że nie ma ich tam gdzie ich miejsce, czyli w ojczyźnie. Ale nie powinni wierzyć, że powrót do ojczyzny im pomoże; przecież nie żyje już większość z tych, których kiedyś się znało.

A poza tym nasza ojczyzna nie znajduje się tu, na ziemi, ale zupełnie gdzie indziej. Przedstawiciele nauk przyrodniczych wciąż poruszają się po omacku. Powinni raczej współpracować z pisarzami, filozofami, artystami, muzykami i duchownymi albo prorokami jak Jezus czy Budda. Ale głosu pisarzy nikt nie słucha!

Pytania zadawała Dagmar Giersberg, niezależna publicystka z Bonn.

*Tłumaczenie: Krystyna Kopczyńska / Copyright: Goethe-Institut e.V., Online-Redaktion
grudzień 2008*

.....
Artur Becker

Nóż w wodzie. Pieśń o topielcach.

(Wodka und Messer. Lied vom Ertrinken, © weissbooks.w, Frankfurt 2008)

(© Stowarzyszenie Wspólnota Kulturowa "Borussia")

Część pierwsza: Oczy Marty

1. Brzuchomówca i jego braciszek Kopernik (fragment)

Tłumaczenie z języka niemieckiego: Joanna Demko

W roku 1967, gdy Kuba miał siedem lat, ciotka Ala straciła lewe oko na swoim własnym weselu w Wilimach. Było to późnym latem, tuż przed zbiorem ziół. Ojciec Kuby, podobnie jak inni byli mieszkańcy Prus Wschodnich, którzy po drugiej wojnie światowej nie potrafili bądź nie uznali za stosowne wyemigrować do Niemiec, pracował w przetwórni ryb w Najdymowie, wsi położonej na przeciwległym brzegu jeziora Dadaj. W alkoholowym zamroczeniu na weselu Ali Adelbert zadźgał nożem własną żonę oraz pana młodego, ponieważ był przekonany, że tych dwoje spotyka się potajemnie od dawna, a teraz, na weselu, jakby tego było mało, pieprzyli się w jakiejś ciemnej izbie. Ala rzuciła się na szwagra, z wściekłości, bezradności i rozpaczki próbując wbić mu widelec w kark. W obronie własnej ojciec Kuby zranił ją nożem w lewe oko, i pewnie oboje pozabijaliby się, gdyby ich nie rozdzielili kuzyni Adelberta. Uwolnili oni Alę z jego rąk i oddali w opiekę własnym żonom, po czym obezwładnili zalanego w sztok nożownika i na całą noc uwięzili w piwnicy. Ciocia Ala początkowo straciła przytomność, lecz gdy już doszła do siebie i gdy ją prowizorycznie opatrzone, nie wydała z siebie nawet dźwięku. Milcząca, z bandażami wokół głowy i oka siedziała na zewnątrz, gapiąc się na przegniłą sierpniówkę leżącą w trawie u jej stóp, bezliźnie zżeraną przez gąsienice. Nie poskarżyła się nawet na ból. Ciało zamordowanych przeniesiono do chłodni, w której zazwyczaj przechowywano ryby. Jeszcze tego samego wieczora ksiądz Kazimierz próbował nakłonić Adelberta Dernickiego do spowiedzi, lecz zniechęcony poddał się po godzinie starań, gdyż jego owieczka, jak określił ojca Kuby, ignorowała go całkowicie. Wsiadłszy do swojej warszawy krzyknął tylko rodzicom panny

młodej przez spuszczone okno, że odprawi za dusze obydwójga zadżganych najwspanialszą mszę żałobną, jaką widział świat. W Jezusie Chrystusie każdy żyje na wieki! Także zbrodniarz i jego ofiara.

Miejscowi milicjanci byli leniwi i nieskorzy uwierzyć w jakieś tragiczne zajście w okolicy. Zazwyczaj alarmowano ich w sprawie niewiele znaczących bójek między dobrze im znanymi pijakami. Przyjechali więc po Adelberta Dernickiego dopiero wczesnym rankiem, kiedy nieszczęśnik zdążył już wytrzeźwieć i nie dawali wiary, że Adelbert zabił własną żonę i młodego, niewinnego człowieka, w dodatku Bogdana – swego dawnego kumpla ze szkoły. Przez całą noc Adelbert ryczał, bardziej jak śmiertelnie zraniony zwierz niż jak człowiek. „Co ja zrobiłem? Boże, co ja najlepszego zrobiłem! Boże, Boże!” zawodził, gdy zabierano go w kajdankach.

Adelbert trafił do więzienia w pobliskim Barczewie, gdzie miał odsiedzieć dożywocie i gdzie karę odsiadywał także Erich Koch, były gauleiter Prus Wschodnich, któremu wyrok śmierci – z powodu ciężkiej choroby zamieniono na dożywocie. Więźniowie pluli z okienek swoich cel na jego głowę okrytą wełnianą czapką, gdy na małym więziennym dziedzińcu odbywał codzienny półgodzinny spacer. Tych, którzy nie pluli, wyzywano od nazistów, łamano im palce bądź wybijano zęby, a w najgorszym wypadku zmuszano do seksu oralnego.

Wychowania Kuby podjęli się Kostek i Renia Podlichowie, jego warmińscy dziadkowie ze strony matki. Kuba żył odtąd w Wilimach, przy polskich rybakach i katolikach, ale ponieważ ojciec Kuby, podobnie jak wszyscy Derniccy, pochodził z Najdymowa, gdzie żyli i pracowali głównie protestanci, między rodzinami na nowo rozgorzała wojna, którą toczyły ze sobą od pokoleń. Oba klany zaczęły z premedytacją niszczyć sobie nawzajem sieci i motorówki, mężczyźni wszczynali bójkę w knajpach przy byle okazji, kobiety przechodząc obok siebie opluwały się.

W Najdymowie mieszkają diabły, wredni Niemcy, ostrzegała Kubę babcia, powinieneś unikać rozmów z nimi, ponieważ nie chodzą do spowiedzi. Poza tym, to oni uśmiercili przecież twoją matkę i są równie podstępni jak Ukraińcy albo Żydzi; nie od dziś mamy z nimi tu nad Dadajem kłopoty. Wedle jej opowieści sąsiedzi z Najdymowa mieli się za mądrzejszych, chwalili się, że mają lepsze traktory, większe domy, inteligentniejszych uczniów, ładniejsze dziewczuchy itd.

Gdy Kuba skończył dwanaście lat, dziadkowie zabrali go do lekarza w Olsztynie. Kuba miał spory brzuch, zupełnie nieharmonizujący z jego drobną posturą, dziadkowie postanowili więc dociec przyczyny owej osobliwej deformacji – być może winny temu był jakiś olbrzymi wrzód? Cokolwiek było przyczyną, Kuba nosił przed sobą banię wielkości arbuza i wyglądał, jakby był w szóstym miesiącu ciąży. Ponieważ nie skarżył się na żadne dolegliwości, nie zwracano na to uwagi, zarówno w domu jak i w szkole. Kuba przyzwyczyił się do swego dużego brzucha, a jego posiadanie zagrzewało go raczej do osiągania najlepszych wyników na wuefie, co też w niektórych dyscyplinach mu się udawało: w sprincie na 60 metrów nie miał sobie równych, w skoku w dal miał również ponadprzeciętne osiągnięcia. Koledzy dokuczali mu dogadując, że jest dziewczyną albo zgoła obojnakiem, i że zaszedł w ciążę z leśniczym Romanowskim, który popełnił samobójstwo i teraz straszy w lesie. „Czemu nigdy nie pokazujesz nam swojego fiutka?” mieli pretensje najbliżsi kumple. Dziewczynki natomiast całkowicie unikały Kuby.

Lekarz w Olsztynie zrobił prześwietlenie rentgenowskie brzucha Kuby i tak go zaszokowało to, co tam zobaczył, że powtórzył zdjęcie jeszcze raz. Dziadkowie Kuby dopiero wtedy zrozumieli, dlaczego lekarz nie mógł wydusić z siebie sensownego wytłumaczenia, gdy na własne oczy ujrzeli klisze. Oznajmił on w końcu, że o podobnym przypadku nigdy w życiu nie słyszał, i że to cud, iż chłopak do tej pory na nic się nie uskarżał. W brzuchu Kuby tkwił bowiem jego brat bliźniak, wyrośnięty, lecz martwy płód, zakonserwowany niczym mumia. Miał szponiaste paznokcie i długie włosy wijące się wokół głowy oraz szeroko otwarte oczy, białe niczym jagody śnieguliczki. Po operacji, która – nie licząc hordy tłoczących się dziennikarzy – przebiegła bezproblemowo, Kuba dostał w szkole ksywę Dwupepka, gdyż w miejscu, w którym wyjęto z niego ciało brata, utworzyła się blizna przypominająca peppek „Ten chirurg to jakiś rzeźnik! Powinien skarpety cerować, a nie niewinnych chłopców krajać!”, oburzali się dziadkowie. Tym niemniej, dzięki swojemu nowemu brzuchowi Kuba zaczął zarabiać pieniądze. Pozwalał mianowicie kolegom oglądać go za niewielką opłatą. Później, w liceum i na uniwersytecie Kuba wykorzystywał swą niewiarygodną historię, by imponować także dziewczynom.

Przed pochówkiem płodu doszło do kłótni z władzami: ciało brata Kuby miało zostać na potrzeby badań zakonserwowane w formalinie i umieszczone w gabinecie kuriozów pewnego znanego uniwersytetu. Jednakże energiczna interwencja ze strony księdza Kazimierza w urzędach i kościele poskutkowała, i Kuba mógł ochrzcić swego brata imieniem Kopernik – jak mu zaproponował dziadek Kostek. „Nasz wielki rodak! Czy wiesz, co my wszyscy mu zawdzięczamy?” pytał nieraz swojego wnuka. „Niech go Bóg błogosławi, pierwszego astronoma, który wyrwał niebu skrawek prawdy!”

Tłumaczenie z języka niemieckiego: Joanna Demko

.....

Artur Becker

*Wiersze z tomiku „Ein Kiosk mit elf Millionen Nächten” [Kiosk jedenastu milionów nocy],
© Stint: Bremen 2008*

Tłumaczenie z języka niemieckiego: Alina Kuzborska

Emigracja

Tuż po naszym wyjeździe do RFN

pierwsza myśl, jaka mi przyszła do głowy, był upadek mego ojca:

porażka jednego z wędkarzy

z polskiego wybrzeża.

Od dawna są parą kochanków:

sierpień 1980 i mój ojciec –

na mur beton osiadły na emigracji:

na swojej prywatnej Ziemi Ognistej. To życie

pełne strachu przed przyszłością, płonące
niczym ośmioletnia Danusia, córka sąsiadów,
której w dzieciństwie
zmiażdżyłem duży palec u prawej nogi –
na wyprawie rowerowej do rosyjskiej granicy.

A w mazurskim biurze mojego ojca po dziś dzień jest
na ścianie apteczka, a domki kempingowe
są latem nadal zamieszkałe.

Każdy wczasowicz dostaje tu świeżą pościel,
kupony żywieniowe na dwa tygodnie i własną łódź,
a wszystkie domki noszą jak kiedyś
astronomiczne nazwy –
Panna, Wielka Niedźwiedzica, Herkules i Lew.

A ojciec znów do nas powróci,
swych dzieci mieszkających nad Dadajem –
kto wie – przecież czas nie akceptuje objaśnień naszej fizyki:
wszystko dzieje się teraz i ciągle tak samo – z miłości,
a nasi uczeni przyrodnicy nie dojdą z nią nigdy do ładu.

Topielcy zaludniają jezioro i las,
wołają do mnie, chłopca z Wilimów, z wioski trzech dusz,
prosząc o pomoc.

Kiedyś byłem dobrze wykształcony i przygotowany,
opanowałem każdą zmianę planet niczym wyjazdy za granicę –
ale służba nie drużba – służba podróżnych w czasie i przestrzeni,
którzy nie mogą pozwolić sobie na wpadki przy pracy.

Jeśli jest tak, iż prędzej wielbłąd przejdzie przez ucho igielne
niż bogaty wejdzie do królestwa niebieskiego,
mam nadzieję, że mój ojciec jednak może zostać zbawiony.
Również inni zmarli wędkarze
z polskiego wybrzeża.

Na ulicy Kopernika

Tam na ulicy Kopernika
Wyrosłem
Niczym gwiazdołap który wszystkie
Części wraku ściąga z nieba
Stare rakiety baterie słoneczne ramiona satelity
Tam na ulicy Kopernika
Grzebano zwłoki
Gestapowcy i urzędnicy polskiej bezpieki
Którzy nie potrafili odróżnić
Mienszewików od bolszewików
Często grywali w rugby
Kierowcy godzinami ćwiczyli klaksony
Moja babcia stuletnia katoliczka
Klaskała w dłonie stojąc w oknie brawo brawo jeszcze
Jeszcze głośniej
Tam na ulicy Kopernika
Zefiryn Frankowski z Poznania
Po raz pierwszy prowadził sprawiedliwy handel bronią
Marksista rozdaje wszystko za darmo
Głosił napis na jego koszulce
Musiał być genialnym człowiekiem mój dziadek
Tam na ulicy Kopernika

Była piwnica co liczyła siedemset lat
Z tajemnymi korytarzami wolnomularzy
Posadzka z czerwonej cegły na której
Zimą spali obrońcy praw obywatelskich i szczury
Ale najbardziej lubiłem czarnych kominiarzy
Ściągających z kosmosu drzewa iglaste i komary
W ogromnych kontenerach z lodu
Wszystko było otoczone dom ogrody dla ślimaków
Schody do piwnicy kończyły się w samym środku świata
Na ulicy Kopernika
Wisiały portrety moich krewnych
Gdy miałem pięć lat na głowę mi spadła Matka Boska
Miała najcięższą dębową ramę
Do dzisiaj nieco mnie dziwi
Ogromna siła wiary
Tam na ulicy Kopernika
Zatrzymało się dla mnie słońce
Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem
Jak płodzi się dzieci
Właśnie w telewizorze na płaskim ekranie
Przez naciśnięcie przycisku
Tam na ulicy Kopernika
Zmarli muszą powstawać z grobów
Powtarzam sobie często
Szwejki i Don Kichoty
Od dawna już ich nie spotykam
Na tej ulicy do wyczerpania ćwiczyłem Hamleta
Którego imię brzmiało wtedy jak omlet
Twierdził Zefiryn Frankowski z pokoju duchów
Tam na ulicy Kopernika
Wciąż rosną łąki i zagrody

Dla nas trawożernych
Tam na tylnym podwórzu
Znajduje się niezacieniony ogród
Zabłąkały się tutaj mrówki
Do śliw i marchewek
Za pomocą lupy zaglądam pod skorupę ziemi
Cały czas nasłuchując
Które kamienie śpiewają najczyściej
Dech mi zapiera
Kiedy się zmniejszam
Zwariowany Guliwer cały czas w mojej głowie
Tam na tej ulicy nie jeżdżą tramwaje
I nie ma postoju taksówek
Jeśli myślisz o wyjeździe.

Tam gdzie mieszkam

Tam gdzie mieszkam na Rhodos w wyimaginowanym obrazie
Wody Wezery unoszą ze sobą tchnienie
I jeśli świat jest w porządku
Nocą w heroinowym śluzie
Niewielkie natężenie ruchu taksówek
Żadnych sprośnych telefonów od zazdrosnych gratulantów
Transakcje przelewów przekazane na numery rachunków
Po północy o trzeciej na bezludnym
Dworcu kolejowym w Bremie
Tory pozamiatane w styczniowej ciszy
Werdykt przyszłości w *futurum exactum*
Jest pociągiem regionalnym do Verden
I ciągle te miłe gesty rzeźników

Węgierskie salami nie krwawi
Chodniki są odporne na wszelką zarazę
Sklepikarze podziwiają
Brunatne zdjęcia w kasach oszczędności
Pejczy z czasów nazizmu
Starzy klienci mijają je w milczeniu
Pewnie jak przypadek z *Carthago Nova*
I dobre lody Rzymian
I Egipt znają oni z biura podróży za rogiem
O tak pamiętają wojnę ciężkie czasy
Wylizywanie talerzy do ostatniej okruszynki to uczy
Zachowań seksualnych na starość
To uczy pisania klasówek o metafizyce
A chrabąszcz wciąż się ukrywa
Za lampą na biurku tam śpi sobie
Świetlisty od gwiazd tam gdzie mieszkam.

*Wiersze z tomiku „Ein Kiosk mit elf Millionen Nächten” [Kiosk jedenastu milionów nocy],
Stint: Bremen 2008
Tłumaczenie z języka niemieckiego: Alina Kuzborska*